

Tłamszona obywatelskość



ANNA MIESZCZANEK

Stały współpracownik „Nowej Konfederacji”

Obywatel, który wie, czego mu nie wolno, jest obywatelem nad wyraz pożądanym. Trochę się położył w duchu, i tyle. A gdy w odruchu prywatnego buntu obejdzie zakaz, będzie miał wyrzuty sumienia. I o to także chodzi.

Dawno, dawno temu – jeszcze zanim europejscy biurokraci bez legitymacji do władzy zyskali przywilej regulowania nam życia – Obywatel wchodził do Parku Zdrowego w Konstancinie, szedł żwirową alejką do tężni i wdychał jod. Dziś na wejściu wali czołem w tablicę z regulaminem i wdycha biurokratyczny opar, który informuje, czego mu nie wolno. Z psem nie, z kotem chyba też, na rolkach nie, papierosów – broń Panie. Ja swojego kota trzymam w domu, ale papierosy palić lubię, czego ani hipsterlewica ani hipsterprawica chyba nie pochwała, choć pewna nie jestem, bo nie zawsze nadążam za trendami.

Peerelowskie prawo powielaczowe przeżywa w III RP swoje drugie życie – gmina konstancińska wysmażyła dla Obywateli regulamin, który – jako akt niższego rzędu – powinien być w zgodzie z aktami rzędu wyższego, powiedzmy konstytucyjnego. A taki zakaz palenia w parku jest z pewnością niekonstytucyjny o tyle, o ile nie wyznaczy się w tymże parku dwóch

symetrycznych przestrzeni: dla tych, co palą, i dla tych, co nie. Inaczej robi się zakazana konstytucyjnie dyskryminacja.

Ja się do tej niekonstytucyjnej demokracji nie nadaję. W Konstancinie siadam na ławce i zapalam papierosa. Podchodzi dziarski starszy pan i mówi, że regulamin. To ja: że niekonstytucyjne. On: że wezwie straż miejską. Ja: że OK, będę z nimi negocjować. Pan się zmywa.

Obywatel, który wie, czego mu nie wolno, jest obywatelem nad wyraz pożądanym. Trochę się położył w duchu, i tyle. A gdy w odruchu prywatnego buntu obejdzie zakaz, będzie miał wyrzuty sumienia. I o to także chodzi. Obywatelskie poczucie winy to bardzo ceniona przez rządzących cecha.

Bo jeśli Obywatel, np., właśnie obronił licencjat i chwilowo nie studiuje jeszcze po bolońsku magistersko, to mu kolej nie sprzeda ulgowego biletu. Regulamin kazał mu oddać legitymację uprawniającą do... Jeśli mu bilet ulgowy niezbędny, to napisze oświadczenie, że legitymację zgubił, ale

ją kontrolerowi w pociągu pokaże. Zawsze z lekkim drżeniem serca, że jednak robi coś niezupełnie OK.

Nie wiem, jak pracowały na swoje poczucie winy starsze panie, którym latem, przed wejściem na rekolekcje z o. Bashorą na Stadionie Narodowym, kazano wyrzucać do śmieci butelki z wodą. Kazano, bo wiadomo: starsze panie zwyczajowo, zaraz po śniadaniu rzucają we wszystkich butelkami napelnionymi cieczą, która ma gasić pragnienie, w razie jakby dach stadionu przypadkiem się zasunął i jakby było gorąco. Wiem natomiast, jak sama obeszałam podobny antybutelkowy regulamin, kiedy chciałam posłuchać Lecha Janerki. Grał jakiś czas temu na dziedzińcu dawnego komitetu centralnego, sumiennie obstawionego barierkami. Pod uważnym i może nawet ciut przestraszonym okiem duchów dawnych I sekretarzy wpatrzyłam się czule w oczy pani z ochrony i powiedziałam: „Nie wyrzucę”. „Pani idzie” – orzekła zaskoczona.

Ja – Obywatel – wiem: powinnam za każdym razem wyrazić oficjalnie swoją opinię na temat zakazów i skierować tę opinię w odpowiednie miejsce. Ale czy wtedy miałabym jeszcze czas na pisanie tego felietonu? Konstatuję więc tylko, że straciłam wpływ na rzeczywistość i doświadczam tej utraty na co dzień w sprawach drobnych. W sprawach bardziej podstawowych doświadczam ostatnio również. Bo choć nie lubię tej fazy, w której bezdomna i pozbawiona prawdziwej agory demokracja płacze się po ulicach z transparentami, chodzę się plątać. Mimo że minister mnie ostrzega, że „państwo musi mieć monopol na przemoc”. Owszem, każde państwo jest w gruncie rzeczy usankcjonowaną przemocą, ale o tym od zawsze wiedzą rozdyktowani studenci uniwersytetów, a nie czytelnicy codziennych

gazet. Choć może to i dobrze, że wiedza ukryta staje się własnością mas – może z nazwanym łatwiej się mierzyć i łatwiej dobijać o nową umowę społeczną wyznaczającą tej przemocy wyraźne granice? Co prawda zwykle ta zabawa nie jest dla dziewczynek, jednak ja już w końcu jestem trochę starszą panią. No i mieszam wspomnienia.

**Moja obywatelska wiara
w możliwość stworzenia
realnych mechanizmów
wpływu obywateli na władzę
została mocno
doświadczona po
10 kwietnia 2010 r.**

Pierwszej wiosny stanu wojennego, 3 maja na Krakowskim, armatki wodne lały na Obywateli wodę, po której została na ubraniu niebieska farba. Dlatego nawet gdy dzisiaj w Muzeum Żydów Polskich albo w pałacu w Wilanowie każą mi nalepiać na siebie nalepkę oznaczającą, że kupiłam bilet i mam prawo..., to mi się zaraz kojarzy. Opaska z gwiazdą Dawida... Woda po zomowcach. Co zrobię, tak mam. Ja, Obywatel, który pozwolił władzy na zbyt wiele i staje się dziś bardzo łatwo Obywatelem zaznaczonym – co po łacinie brzmi naprawdę dumnie: *civis selectus*. Do takiego *civis selectus* łatwo już trafi minister, który chce pałować kibiców, co traktuję jako metaforę z naprawdę dużym potencjałem.

Moja obywatelska wiara w możliwość stworzenia realnych mechanizmów wpływu obywateli na władzę została mocno

doświadczona po 10 kwietnia 2010 r. Może zresztą na to właśnie obliczony był ten niemogący się zakończyć spektakl arogancji władzy przejętej bez dbania o konstytucyjny artykuł 131, oddającej w obce ręce najważniejsze śledztwo i ukrywającej przed Obywatelami wiedzę na skalę dotąd chyba niespotykaną. Wszystko zgodnie z duchem „nie mamy waszego płaszcza i co nam zrobicie”.

Choć ta pojedyncza nadzieja nie jest aż tak ważna – ważniejsze, że 10 kwietnia paradoksalnie otworzył przestrzeń aktywności dla nowych, konserwatywnych środowisk. Tak jakby stare alterglobalne i raczej lewicowo niż konserwatywnie cytowane na początku wieku hasło „Inny świat jest możliwy” przepłynęło w metafizycznej przestrzeni z lewa na prawo. I teraz, uznawszy własną *tendencję do fetyszyzowania nowych form demokracji uczestniczącej*, stoi to hasło trochę bezradnie wobec pytania o to, co zrobić, żeby jednak odzyskać politykę parlamentarną i razem z nią ten obywatelski wpływ. A tym właśnie pytaniem pomалу zajmują się dziś środowiska konserwatywne.

Czy wesprą nowych konfederatów, republikanów i innych konserwatywnych ci młodzi, którzy zamiast dawnej emigracji wewnętrznej czy dzisiejszej zarobkowej wybrali emigrację cyfrową? Przejmująco napisała o nich Agata Tomaszewska: „Dzieci transformacyjnego chaosu, owoc wyżu demograficznego końca XX w. Od urodzenia obarczeni poczuciem winy, że jest nas za dużo, że nie wystarczy dla nas miejsca w szkołach, na studiach,

w pracy... Że jesteśmy zbędni. [...] Nauzeni na własnej skórze, że rzeczywistość jest totalnie niestabilna [...] Od dziecka wiemy, że chcą tylko nas wykorzystać, ewentualnie oszukać”.

Czy to rzeczywiście tylko plemię – wspólnota na gruncie ledwie estetycznym – które, jak pisał kilka lat temu Bartłomiej Radziejewski, nie zbuduje nowoczesnego państwa? Wszak wartości ważne dla tego pokolenia to wolność: „słowa, dostępu do informacji, kultury. [...] dzięki tej wolności sieć jest tym, czym jest – i obrona jej wolnościowego kształtu jest naszym obowiązkiem wobec kolejnych pokoleń. Czy jest tylko tak, że w kadrze neoplemienności dostrzec można wyraźne piętno postkomunistycznego konsumpcjonizmu?”. Fakt: z badań socjologów, na których opierał swój tekst Radziejewski, wynikało, że młodzi zorientowani są na „bogactwo i związany z nim wysoki status społeczny oraz wygodne, pełne wrażeń i »na poziomie« życie”. A może w badaniach nie zadano jakiegoś ważnego pytania i przez to umknął istotny rys młodej grupy?

Myślę, że kiedy minister stanie z mniej czy bardziej metaforyczną pałą nad mniej czy bardziej wirtualną przestrzenią sieci – wszystko może się zdarzyć. I na tym wyobrażeniu zawiesza się z ufnością moja przetrącona po Smoleńsku nadzieja. Bo wiem, że nie odzyskają polityki dla Obywateli tylko ci z lewa ani tylko ci z prawa. Takie coś może przynieść tylko działanie wspólne. Nie żeby zaraz okrążyły stół, o którym mówił ostatnio premier Tusk, ale jednak...